

Z mojej łóżki

Diabeł chce być wciąż modny

Złe czasy nastały dla diabłów, dla diabelskiego pomiotu, postarzelili się diablowie miejscy i leśni, spowszechnieli, skapcianieli, aż przykro. Na psy zeszedli, jak to już Goethe przewidział. Jeszcze są obecni w pogródkach i połajankach (idź do diabła, a niech cię wszyscy diabli...), ale gdzie te czasy, gdy gładziły nianie, straszyl klecha, a diabeł był obecny w myślach i uczynkach. Kto by dziś z diabłem chciał wchodzić w konszachty, kto by się tam kłut w palec, by krwią serdeczną podpisać diabelski cyrograf. Wygnany z życia, diabeł znalazł sobie azyl w sztuce, ale i tutaj spadł do roli diabła operowego, diabła w kabarecie, po koledzie chodzi, w szopce straszyl... taki to i diabeł, potulny, swojski, już i dzieci się go nie boją, ciągną za ogon.

Ale diabeł chytra sztuka, wykrył jak się może odegrać. Teatr! W teatrze diabeł uwił sobie ciepłe gniazdko i nie daje się zeń wykurzyć — szczególnie u nas, pod wysokim patronatem romantycznych wieszczów, którzy na diablach znali się jak mało kto, z Belzebubami, Lucyferami i w ogóle Złymi Duchami byli za pan brat. Diabli na „Dziadach” w Teatrze Starym czują się jak u siebie w domu, ale i w Warszawie nie gorzej. Jeszcze August Kowalczyk nie przestał świecić demoniczną tysią i butem zdjętym z diabelskiego kopyta potrząsać jako Mefistofeles w „Fauście” w Teatrze Polskim, jeszcze Tadeusz Borowski nie zapomniał roli Mefistofelesa w parafrazie poetyckiej Jerzego S. Sity w Teatrze Dramatycznym... a już nowe przedstawienia świadczą, że diabeł, przegnany z życia, przynajmniej ze sceny nie chce ująć w niestawie.

W Teatrze Dramatycznym „Diabelstwa” pana Fersena, Włocha, na scenie Teatru Żydowskiego goście z Teatru Ziemi Opolskiej z „Sonatą Belzebuba” Witkacego, a w Teatrze Współczesnym przez trzy godziny egzorcyzmuje diabła (filozoficznie) sam anielski Claudel, Francuz, ekscelencja i mistyk, który lawiną słów gromi ateistę. Dobrze się wie dzie diablom na scenie, ale czy naprawdę dobrze? Jakoś i te diabły linieją, kurczą się, nie ma co ukrywać.

Pan Fersen nie silił się na filozofię. Jego diablom wystarcza ludowość i koneksje literackie. Ale na stylizowaną, sztuczną ludowość coraz trudniej naród nabierać, a na schematycznych diabłów jeszcze mniej niż na schematycznych ludzi. Więc nudzą te „Diabelstwa”, a jak już diabły nudzą, to niech ręka boska broni.

Z Claudelem inaczej. Claudela „Punkt przecięcia” miał prasę dobrą, chociaż gołym okiem można było dostrzec, jak męczyli się ko-

ledzy-recenzenci, by wycisnąć z siebie pochwały dla uperfumowanego paczulą geniusza. Był Claudel wczorajszą wielkością teatru? Był. Nosił swobodnie czarny frak dyplomaty, a jeszcze lepiej zielony frak nieśmiertelnego? Nosił. No to jakże mówić o nim bez szacunku, z przekąsem, gdy w dodatku ten „Punkt przecięcia” sprzed wielu lat znalazł w Polsce doskonałego tłumacza (Juliana Rogozińskiego)? I temat już się wybornie jak figa ucukrował, jak tytoń uleżał, i świetny reżyser Jerzy Kreczmar jak nikt umie celebrować. A ja tu jednak powiem otwarcie, że jeśli już mam oglądać anielsko-diabelskie starocie i mętniactwa, to wolę naszego rodzimego „smutnego szatana” z tej samej claudelowskiej epoki, który też utkwiał w tej epoce wraz ze swoim nagim szatanem Vigelanda. C. k. sąd powiatowy w Krakowie skonfiskował Przybyszewskiemu reprodukcję tego szatana w „Życiu”, wbijając przysłowiowy gwóźdź do gotowej już zresztą trumny tego czasopisma. Przybyszewski jest bodaj przewrotnie zabawny, jeżeli grany serio. W Warszawie „Śnieg” w Teatrze Dramatycznym, w Krakowie „Gody życia” w Teatrze Starym pokazały, że Przybyszewski może widzów znowu interesować, chociaż, no cóż, inaczej niż o tym marzył autor „Topieli”. Krytyk Greń już przed laty namawiał teatry do ekshumacji Przybyszewskiego. Claudel ze wszystkimi swoimi świętościami nudzi i drażni. Przybyszewski ze swoją nagą duszą i dziećmi szatana — przynajmniej bawi. Może i któraś z jego powieści by zabawiła?

Diabłów i świętych coraz trudniej oglądać w scenerii serio. Ostatniego świętego serio widziałem przed kilku laty. Ale to było w kinie: Szymon Stupnik z filmu Bunuela. To był prawdziwy święty, groźny, okrutny, demoniczny.

A ostatni diabeł? Na pewno nie z diabelskich igraszek, ani nie z parafraz diabłów romantycznych, choć wtedy były złote czasy diabelstwa. Pan Fersen nam pokazał, że diabły na poetycko są diabła warte. Diabły do parodii! — o, to już lepiej. Ale po kiego diabła ta cała metafizyka od siedmiu boleści? I w filmie podobno chcą nas straszyc diablami. Coś mi się zdaje, że repertuar aktualny trzeba by przewietrzyć i diabły z niego przepędzić, jak Isia przy pomocy zwykłej domowej miotły przeganiała z izby diabelskiego Chochoła. Isi się co prawda nie udało, Chochoł wlaź na scenę i do dzisiaj po niej hasa, ale z diablami bardziej wcielonymi chyba łatwiej sobie poradzić? Mówią, że diabłów nie ma. A na cmentarzu o północy to co straszyl?